

SZTUKA Jerzego Broszkiewicza „Koniec Księgi VI” nie należy do łatwych ani w realizacji, ani w odbiorze. Symultaniczność akcji na kilku planach stwarza trudności zarówno dla scenografa i reżysera, jak i dla aktorów. Od widza natomiast wymaga przez cały czas trwania spektaklu (dwie i pół godziny) wielkiego skupienia i natężenia uwagi. W sztuce tej nie ma osiągnąć akcji według tradycyjnych wzorów; jest to raczej udratyzowany przekaz olbrzymiej ilości faktów historycznych, cytatów z kronik i kodeksów, listów oraz dzieł Mikołaja Kopernika.

Ostatnie lata życia naszego wielkiego uczonego nie należały do łatwych. — „Uprawiać naukę może tylko człowiek wolny w duchu”. Oto słowa, stanowiące motto do „Zapowiedzi Pierwszej” dzieła „O obrotach ciał niebieskich”. Piękne to i prawdziwe, ale jakże trudne do zrealizowania dla człowieka żyjącego w społeczeństwie i podlegającego jego normalnej hierarchii.

Przez całe swoje życie był Kopernik bardzo czynnym kanonikiem, administratorem i lekarzem, a badanie ciał niebieskich traktował jako rozrywkę

w chwilach wolnych od pracy zawodowej. Lecz dokonawszy tak rewelacyjnego odkrycia, jak system heliocentryczny, doszedłszy do wieku lat sześćdziesięciu, postanowił całkowicie poświęcić się swemu dziełu, aby móc ogłosić je światu. Wszystko

ga pełnego zaangażowania intelektualnego.

Scenograf, Józef Zboromirski dobrze pojął ducha sztuki. Jego dekoracja jest doskonałym tłem dla tej historycznej relacji, a proste i piękne w kolorystyce, nieudziwnione kostiumy świetnie „przylegają” w

matka złodzieja Kwacpra wystąpiła tylko w dwóch epizodach, stworzyła sztukę w sztuce. Przedstawiona przez nią historia jej skazanego i straconego syna — złodziejzka była chyba najmocniejszym i najbardziej dramatycznym momentem spektaklu.

stworzył postać z krwi i kości. Chyba najtrudniejszą rolę miał Krzysztof Kursa, jako Jerzy Joachim Retęty. Tekst tak jest najęony informacjami, że zasłuchany w te informacje widz może nie dojrzeć postaci stworzonej przez aktora.

Reżyserowała przedstawienie Jolanta Ziemińska. Chyba ją właśnie należy obciążyć niezbyt, według mnie, właściwym ustawieniem postaci Krystyny, siostrzenicy Kopernika. Ludomira Tarapacka jest młodą, zdolną aktorką, czego dowiodła w poprzednich swych rolach i na pewno znalazłaby środki aktorskie na stworzenie postaci mieszczkańskiej panielki. Może wesołej i trochę próżnej, zakochanej w swoim trebaczu, ale skromnej. Wydaje mi się, że stworzyła raczej frywolną szynkareczkę, nie zaś cnotliwą dziewczynę.

W sumie, do całości reżyserii, nie można mieć zastrzeżeń. Przedstawienie jest od początku do końca bardzo konsekwentne zarówno w nastroju, jak i w uwypukleniu intencji autora.

»Koniec Księgi VI«

przestaje być dla niego ważne. Denerwuje się; młodszy od niego umiera, on czuje już upadek sił fizycznych, a więc trzeba się spieszyć. Nie wolno się rozpraszać w drobiazgach, ani tracić czasu na jałowe spory — trzeba pisać, sprawdzać obliczenia, uzupełniać... trzeba przed śmiercią całkowicie wykończyć swoje dzieło.

To właśnie stanowi temat sztuki Broszkiewicza „Koniec Księgi VI”, granej na scenie Teatru im. Stefana Jaracza w Elblągu.

Spektakl nie jest błyskotliwy. Może nawet trochę nużący dla mniej wyrobionych widzów, ale jak powiedziano na początku, autor postawił wykonawcom bardzo trudne zadanie, a od widzów wyma-

nastroju do postaci sztuki.

A same postacie? Aktorzy?... No cóż, mieli bardzo trudne role. Nieustannie obecność na scenie i tylko fragmentaryczne wycieczanie się do dialogu i do akcji, niemalże filmowe ujęcia, przeskakujące z miejsca na miejsce z minimalną możliwością poruszania się, to sprawa niełatwa. A gdy jeszcze do tego trzeba wygłaszać długie cytaty i teksty historyczne...

Kobiety miały łatwiejsze zadanie; ich teksty były bardziej emocjonalne i trzeba przyznać, że wykorzystane to w pełni.

Wanda Bajerówna, jako Anna Schillig stworzyła postać prawdziwą i sugestywną, a Eugenia Śnieżko-Szafnagłowa, która jako



Kopernik, z woli autora jest starym człowiekiem, zobojętniałym na wszystko, co nie jest jego dziełem, pracuje z Joachimem Retętykiem, który ma zabrać jego pracę, aby oddać ją do druku. Karol Hruby właściwie oddał intencje autora: „żył” tylko wtedy, gdy mówił o swym dziele, lub o jego ewentualnych losach, a we wszystkich kwestiach, dotyczących jego codziennego życia był przygaszony. Natomiast zupełnie nie przygaszony był Roman Szmarałydujący „na wyżkach” dekoracyjnych jako biskup Jan IV. Pomimo fragmentarycznych tekstów